

- Wracam z roboty. Z drugiej zmiany - wyjaśnił nieco zaczepnie ale zgodnie z prawdą.

- Przepustka jest?

- Jest - Janek sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. - Proszę.

Dowódca rozłożył, złożoną na czworo kartkę i przyświecając sobie latarką skrupulatnie sprawdzając grafik.

- Dziękuję - rzekł w końcu, i dodał - Daleko jeszcze do domu?

- Dwa bloki dalej - Janek wskazał ruchem głowy.

- No to proszę iść prostu do domu... Dobranoc.

- Dobranoc - wypowiedział z ulgą.

Zrobił kilka kroków, kiedy usłyszał głos dowódcy.

- Chwileczkę!

Poczuł mrowienie na plecach. Oblaty go zimne poty przypominając sobie jak jakiś czas temu milicjanci zgarnęli ich na dworcu PKP w Katowicach za rozrzucanie ulotek. Jego, Jacka i Waldka. Co prawda dla animuszu trochę wypyli. Mundurowi i szpicle wyrosli jak spod ziemi, nie było nawet cienia szansy na ucieczkę, otoczyli ich z każdej strony, jakby właśnie na nich czekali. Janek podniósł ręce do góry, nie zwracając uwagi na polecenie szpicla aby je opuścił. - Jak wojna to wojna! - Odpyskował. Na komisariacie na dzień dobry dostał z piąchy w ryj. Po dokładnej rewizji, ci w cywilu zaczęli wydzwaniać nie wiadomo gdzie i po co. Zapewne sprawdzali czy mają na nich coś grubszego. Widocznie nie mieli, ponieważ po skonfiskowaniu bibuły, i nie uzyskaniu informacji od Janka, że znaleźli paczkę z bibułą na jednym z sosnowieckich przystanków WPK, przepuściły ich profilaktycznie przez szpaler pał. Prawdę mówiąc nie lali zbyt mocno...

- Mam do pana pytanie - żołnierz zmienił ton na mniej oficjalny.

- Tak? - wypowiedział monosylabę nieco drżącym głosem.

- Nie ma pan - żołnierz zawiesił na sekundę głos - bibuły, bo wie pan, w naszych koszarach cienko z tym.

Kurwa. Pomyślał Janek, który w torbie miał ze dwa kilogramy antykomunistycznych pisemek. Powiem nie, to mogą zrobić mi kispisz, powiem że mam, to mogą mnie zamknąć.

- Proszę pana, jesteśmy żołnierzami a nie zomowcami - dowódca wypowiedział ostatnie słowo z nieco teatralnym obrzydzeniem.

- Mam... - wydusił z siebie nie wierząc własnym uszom.

Żołnierze zbrali się wokół Janka.

- Może nam pan dać, rozprowadzimy wśród kolegów w koszarach.

Janek otworzył torbę, wyciągnął plik ulotek i wkładał w wyciągnięte dłonie wojaków...

Jackek wyprostował się na krześle patrząc na zapisaną kartkę papieru. Który to już raz próbuje przelać na papier tę historię? W koszu obok biurka, na którym stała przedwojenna maszyna do pisania Remington, było pełno pomiętych kartek. Przeciagnał się

spoglądaj w okno, przez które wlewały się promienie lipcowego słońca. Z głośnika szpulowego magnetofonu ZK 120 wydobywały się dziwne dźwięki kapeli o industrialnej nazwie Kraftwerk. To było to coś, co niezłe ryło z czechę. Drzwi do pokoju otwarły się z impetem, w drzwiach pojawił się ojciec Jacka z twarzą nie wróżącą nic dobrego.

- Co ty głuchy jesteś? Weź ścisiz to gównio! Przyszedł ktoś do ciebie.

Jackek ściszył magnetofon, wsunął stopy kapcie i ruszył do drzwi wejściowych.

- Kurwa... - zaklął cicho widząc w progu kolegę z którym nie widział się od ponad roku. A może jeszcze dłużej.

- Cześć - Rafał uściśnął wyciągniętą dłoń Jacka.

- No włącz, nie będziemy w drzwiach gadać.

Dwa dni później jechali do Opola, gdzie mieściła się siedziba firmy budowlanej w której to od ponad roku pracował Rafał. Po drodze, jak to po drodze gadali o starych Polakach. W opolskim biurze sprawy załatwili błyskawicznie i wydelegowani do Jeleniej Góry, Jackek został dokwaterowany do pokoju, który zajmował Rafał, na tak zwanej stacji, po przespanej nocy znaleźli się na terenie fabryki dywanów, gdzie opolska firma stawiała biurowiec. Po odsłuchaniu przepisów BHP przydzielono go do wielkiej betoniarki, którą po pobieźnym szkoleniu miał sumiennie obsługiwać. Za plecami miał stos worków z cementem, obok spory kopiec piasku i kran z nałożonym nań zbrojonym, gumowym węzłem. Pół dniówki pracował z brygadzystą Tytusem, która nauczył go jak robić beton, aby był betonem, a nie sraczką. A że był pojętnym uczniem Tytus po przyjacielski poklepał go po plecach i wyskoczył na piwko, ponieważ dostał cynk, że akurat przywieźli browar do pobliskiego wodopoju o egzotycznej nazwie Oaza. Pierwsza dniówka skończyła się pomyślnie, doprowadził betoniarkę do porządku, worki z cementem zgodnie z zaleceniem majstra przykrył brezentem i jak na nowicjusza przystało w szatni znalazł się ostatni. Część chłopaków była już przebrana, część kończyła brać prysznic, a część z nich w ogóle nie przejmowała się sprawami higieny, i właśnie oni grzali już miejsca do Oazie. Najstarszym był pan Kaziu, dźwigowy, facet przed emeryturą, jak dobrze by mu poszło mógł być Jacka dziadkiem. Był to bardzo sympatyczny facet, wiecznie uśmiechnięty, z takim promieniującym dobrocią wzrokiem. Jackek pomyślał, że jego ojciec nigdy tak na niego nie patrzył, a to mogłoby wiele zmienić.

Dni mijały szybko, równie szybko zaprzyjaźnił się z robotniczą bracią, która wsparli go finansowo do czasu otrzymania zaliczki. Ale najbardziej przyłgnął do pana Kazia, ten nie chodził do stołówki lecz jadał śniadanie w swojej kabinie. Kilka razy zaprosił Jacka aby poczęstować go swojską kiełbaską. Z dnia na dzień, od słowa do słowa, pan Kazimierz, który okazał się antykomunistą z krwi i kości wtajemniczył Jacka w planowany sabotaż.

Jackek miał za zadanie przynieść z magazynku puszkę mini, którą Rafał na żelbetonowej płycie służącej do układania podłóg miał ładnie napisać SOLIDARNOŚĆ ŻYJE. Z wykrzyknikiem na końcu! Zadaniem Jacka miało być złapanie jej hakami dźwigu, Kazimierz miał unieść płytę na 4 piętro, gdzie akurat były montowane żelbetonowe podłogi i...dźwig miał się zepsuć. Wtajemniczonych w sabotaż ogarnęło podniecenie, które było raczej przyjemne, ponieważ plan pana Kazimierza był wręcz wyborny ze znanionami performansu. Jak postanowili, tak też zrobili. Dźwig uległ awarii z dyndająca na wysokości 4. piętra płytą z napisem SOLIDARNOŚĆ ŻYJE. Ludzie z miasta zadzierali głowy do góry nie wierząc własnym oczom. Telefony w urzędach i na posterunkach milicji rozgrzewały się do czerwoności. Po kilka godzinach przyjechała delegacja z Opola i kilku podejrzanych cywili, którzy zaczęli rozpytywać budowlanców co wiedzą na ten temat. Rzecz jasna nikt nic nie wiedział i niczego nie widział. Magazynier przyparty do mury przyznał się, że po mnie przyszedł ten nowy, więc zrobił notatkę w kajecie i nic więcej nie wie. Jackek zaklinał się, że tego nie napisał, a po minię wysłał go dźwigowy. W końcu stanęło na tym, że winny jest Jackek, bo któż inny mógłby narazić się dyrekcji i władzom Rzeczpospolitej Ludowej. Dziwnym trafem urzędnicy z Opola przywieźli Jackowi wyplatę i delegację wraz z informacją, że umowa o pracę po okresie próbnym nie będzie przedłużona, i że panu już dziękujemy, Jackek podpisał listę płac, schował pieniądze do kieszeni drelchów i ruszył do szatni zerkając spode łba na Rafała, który do tej pory miał łapy pobrudzone minią, ale czego urzędnicy i podejrzani cywile jakoś nie zauważyli.

Kiedy się przebierał do szatni wszedł facet z dyrekcji i zapytał - Namalowałeś to, czy zrobił to ktoś inny.

- Nie wiem kto to zrobił - skłamał, i zaraz dodał zgodnie z prawdą. - Ja tego nie napisałem!

Facet z dyrekcji kiwnął głową, wyciągnął dłoń na pożegnanie i rzekł cicho - Nieważne kto to napisał, ty czy ktoś inny, ale to był szatańsko przedni pomysł - po czym uśmiechnął się i wyszedł.

Jackek wykapał się na spokojnie, pożegnał się z budowlaną bracią, poszedł na stację, zapakował torbę i maszerując na dworzec PKP, co chwila zerkał na wiszący prefabrykat z groźnym dla ustroju napisem: SOLIDARNOŚĆ ŻYJE.

Mirosław G. Majewski

